

Marcin Celiński to od prawie 8 lat dyrektor I LO w Sokołowie Podlaskim. Na naszych łamach gości przede wszystkim jako wieloletni harcerz i osoba zasłużona nie tylko dla sokołowskiego harcerstwa, które w tym roku świętuje jubileusz stulecia.

.....

Znani? Nieznani?- Stąd/ wywiad z hm. Marcinem Celińskim

- Przez lata PRL harcerstwo było organizacją masową. Zapewne i w twojej rodzinie były harcerskie tradycje?

- W mojej rodzinie właściwie wszyscy mieli swój czas związany z harcerstwem. Oboje moi rodzice w życiu szkolnym byli harcerzami. Podobnie było z moją siostrą. Jakieś wspomnienia w domu były żywe, mimo że kiedy się urodziłem, rodzice już w harcerstwie nie działali.

- Kiedy bezpośrednio zetknąłeś się z harcerstwem?

- W I klasie, w Szkole Podstawowej nr 1, kiedy to nasza niezapomniana wychowawczyni Krystyna Jędrejek zaprosiła druhnę Ewę Andrzejczuk z Młodzieżowego Kręgu Instruktorskiego im. A. Romockiego „Morro”, wtedy chyba licealistkę - młodą, energiczną, przyjazną. Był 1979 r. Tak jak cała klasa wstąpiłem do Drużyny Zuchowej „Zajączki”. Przez kilka miesięcy mieliśmy zbiórki w „Jedynce” przy ul. Polnej, a później przy ul. Baczyńskiego, gdzie powstała filia tej szkoły. Byliśmy zachwyceni tą drużyną, ciekawymi zajęciami, zabawami na wolnym powietrzu. Mam wiele wspomnień z tamtych czasów. Kiedy wróciliśmy na Polną, drużynową została nasza nowa wychowawczyni Barbara Pękała (wspaniała nauczycielka!). Mimo, iż było to harcerstwo typowo szkolne, z cotygodniowymi zbiórkami w klasie, to mieliśmy mnóstwo fajnych zajęć i przygód. Wreszcie w klasie IV trafiła do nas drużna Jana Świnarska, wówczas uczennica szkoły średniej, członkini tego wspaniałego środowiska młodych instruktorów z MKI. Została naszą drużynową i wtedy zaczęło się prawdziwe harcerstwo, a wraz z nim nasz pierwszy w życiu biwak w Skrzyszewie. Wielkie przeżycie i ogromne wydarzenie, do którego przygotowywaliśmy się niesamowicie: szykowaliśmy namioty, śpiwory, materace, do których strugaliśmy patyki zamiast kołków. Dzisiaj te przygotowania wydają się śmieszne, ale dla nas to była wyprawa ogromna. Dziesiątki biwaków potem przeżyłem, ale ten pamiętam do dzisiaj. To już było prawdziwe harcerstwo, tu zaczęła się przygoda. Nasza przyjaźń z Janą trwa nieprzerwanie do dziś. Harcerstwo łączy ludzi na zawsze...

- Kiedy wyjechałeś na pierwszy obóz?

- W 1985 roku do Czarnuchy. Wcześniej byłem na zuchowych koloniach w Białowieży. Komendantem sokołowskiego Hufca ZHP był wtedy Jerzy Rabek. Czarnucha stała się kultowym miejscem nie tylko dla harcerzy. Przez kilkanaście lat przewinęło się przez nią kilka tysięcy osób... Po tym obozie, we wrześniu przyszedł do nas do szkoły druh Andrzej Adamski (lekarz) ze swoim przybocznym Andrzejem Rabkiem. Poznaliśmy ich właśnie w Czarnusze. Przejął on nas, czyli drużynę Jany i tak powstała 10.Harcerska Drużyna Turystyczna im. Klimka Bachledy. Jana nas nauczyła, czym naprawdę jest harcerstwo, a Andrzej otworzył to moje, nasze harcerstwo na świat.

- Opowiedz coś więcej o „Dziesiątce”, słynnej jeszcze przez lata.

- Działaliśmy już wtedy przy Domu Harcerza. Mój zastęp nazywał się „Niedźwiedzie”. Pamiętam niezwykle zbiórki, które prowadził Andrzej Adamski, szczególnie te nad starą, wojskową mapą Tatr: klęczeliśmy nad nią na podłodze, a nasz drużynowy opowiadał i wędrował palcem po szlakach, a my z nim... Andrzej Adamski to postać charyzmatyczna, miłośnik Tatr, turysta z krwi i kości. To wszystko zaszczerpił nam, młodym chłopakom. Gdy po raz pierwszy wyjechaliśmy w Tatry, to była dla nas wyprawa życia! W „Dziesiątce” poznaliśmy też harcerstwo ogólnopolskie: słynny Harcerski Rajd Świętokrzyski, wielkie zloty, potem była pierwsza Polowa Zbiórka Harcerzy Starszych we Fromborku... Weszliśmy w harcerstwo po uszy.

- Czy drużyna przetrwała przejście harcerzy do szkół średnich?

- W zdecydowanej większości harcerze „Dziesiątki” kontynuowali naukę w LO w Sokołowie, ja uczyłem się do szkoły w Siedlcach, jeszcze inni w Węgrowie. Drużyna nie tylko istniała nadal, ale z każdym rokiem była naprawdę coraz mocniejsza. W 1989 r. zdobyliśmy „Proporzec Komendanta Hufca” – wyróżnienie dla najlepszej hufcowej drużyny!... Po wyjeździe z Sokołowa Andrzeja Adamskiego drużynowym został Andrzej Rabek, po nim Melania Bujak. Ja byłem przybocznym. A kiedy Melka poszła na studia medyczne, w 1990 r. zostałem drużynowym. Nieco wcześniej, jako siedemnastolatek, po złożeniu zobowiązania instruktorskiego, założyłem swą własną drużynę w Szkole Podstawowej Nr 3. Wtedy szczerpowa tam była Danuta Zadrozna. Wielu z nas działając w starszoharcerskiej „Dziesiątce”, zakładało swoje drużyny harcerskie lub zuchowe. Kiedy zostałem drużynowym 10 HDT, swoją drużynę z „Trójki” włączyłem w jej skład. Mieliśmy już wtedy swoją własną harcówkę w Domu Harcerza! W tym czasie -można powiedzieć - zaczął się mój drugi etap w harcerskim życiu – byłem instruktorem, drużynowym. Przyboczną została wtedy wspaniała harcerka Kasia Malinowska (dziś Rudnicka). Tworzyliśmy wtedy niezły „tandem”, a nasza drużyna zaczęła organizować samodzielne obozy w Karkonoszach, na Dolnym Śląsku, Jurze Wieluńskiej, w Tatrach. Jednocześnie obowiązkowo co roku był obóz w Czarnusze! Uczestniczyliśmy we wszystkich najważniejszych przedsięwzięciach harcerskich w Polsce, na czele z Harcerskim Rajdem Świętokrzyskim i Polową Zbiórką Harcerstwa Starszego... Gdy harcerze zaczęli dorastać, zakładali swoje zastępy, więc drużyna rozrastała się. W 1995 r. na Światowym Zlocie Harcerstwa Polskiego w Zegrzu, gdzie reprezentowaliśmy Chorągiew Siedlecką ZHP, zdecydowaliśmy, że podzielimy drużynę i powstanie szczerp. Tego właśnie roku hufiec musiał wyprowadzić się ze swojej siedziby przy ul. Ks. Bosko. Okazało się, że dostaniemy stary, opuszczony budynek nad stawem Mazura. Właśnie tam na pierwszej zbiórce kręgu wodzów (tak w naszej obrzędowości nazywała się rada drużyny) postanowiliśmy, że budujemy nowy szczerp: XIV Sokołowski Szczerp Harcerski, który będzie się nazywał „Pangea” (wszechziemia). Nazwa podkreślała jedność środowiska. Nowymi drużynowymi zostali dotychczasowi zastępowi i przyboczni. Niebawem dołączyli do nas nowi harcerze. Chciałbym ich tu wszystkich wymienić, ale pewnie nie starczy nam miejsca. Wspomnę tylko drużynowych: Jędrzek Wicherski, Sławek Buzuk, Ola Joniec, Milena Mazurczak, Maciek Kowalewski, Marcin Uszyński, Sylwia Gotowicka, Karolina Iwańska. Bardzo się ze sobą zżyliśmy. Spędzaliśmy razem niemal cały wolny czas. Często wyjeżdżaliśmy na rozmaite harcerskie zloty, rajdy, biwaki, szkolenia. To był czas niezwykle: np. gdy dowiedzieliśmy się, że następnego dnia będzie w Polsce widoczne zaćmienie słońca, potrafiliśmy spakować szybko plecaki, pojechać w nocy do Zakopanego, rano wejść na Rysy, tylko po to, by stamtąd oglądać to zjawisko. Wieczorem wracaliśmy do domu.

- XIV Szczep Harcerski „Pangea” narodził się akurat w dziesiątą rocznicę powstania 10. HDT. To symboliczne. Jak myślisz, co było przyczyną tak gwałtownego rozwoju środowisk harcerskich w Sokolowie w latach 90.?

- Rzeczywiście były wtedy w sokołowskim Hufcu ZHP bardzo silne środowiska. Oprócz sześciu drużyn „Pangei” działała od dawna 32 DH Andrzeja Błońskiego, 9SDH „Orlęta” Jarka Rabka, od ćwierćwiecza działał VII Osiedlowy Szczep Harcerski, którym kierował wtedy Sławek Tomaszewski, później dołączyła też 91 SDH „Tanijas” Marii Janista, a potem Ani Hilaruk. Działo też wiele innych środowisk harcerskich w naszym mieście i powiecie. Na pewno rozwojowi sokołowskiego harcerstwa sprzyjał pewien klimat tamtych lat, wielu wspaniałych, niezwykle zaangażowanych instruktorów harcerskich, którzy z kolei byli wychowankami kadry lat 70-tych i 80-tych. Pomagało na pewno także nowe otwarcie na świat. Wtedy ZHP rozpoczął na nowo współpracę ze środowiskami skautowymi. Pojawiły się ciekawe programy wychowawcze. W „Pangei” w sposób szczególny zrodziło się coś, co było nowością na ówczesne czasy, czyli współpraca międzynarodowa. Śmiem twierdzić, że nasz szczep był swego czasu jednym z najsilniejszych pod tym względem środowisk w całym ZHP. Współpracując z Wydziałem Zagranicznym Głównej Kwatery ZHP skorzystałem ze rewelacyjnego programu „Euro Steps” opracowanego przez Światową Organizację Ruchu Skautowego. Zaczęliśmy organizować obozy w Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech, Austrii, Beneluxie, Grecji itp. To wszystko plus wzajemne umacnianie się silnych sokołowskich środowisk dało świetny efekt w postaci mocnego liczebnie, ale także wychowawczo i programowo, hufca harcerskiego.

- Myślę, że przyczyniła się do tego też twoja instruktorska służba. Jak wyglądały kolejne jej etapy?

- Moja droga instruktorska była bardzo intensywna. Jak już mówiłem, Zobowiązanie Instruktorskie złożyłem w 1989 r. i zaraz potem zostałem drużynowym. Rok później zostałem członkiem pierwszej oficjalnej delegacji ZHP na Jamboree Skautowym we Francji. Od 1991 r. byłem członkiem Komendy Hufca i zastępcą Komendantki Hufca, pracowałem w Sokołowskim Domu Harcerza, współpracowałem z Komendą Chorągwi Siedleckiej, potem Mazowieckiej. Wybrano mnie na członka Rady Naczelnej ZHP, byłem instruktorem Głównej Kwatery, działałem tam w Wydziale Programowym. Byłem też szefem Zespołu Wychowania Duchowego i Religijnego GK ZHP. Od 1993 roku mocno związałem się z Centralną Szkołą Instruktorską ZHP w Załęczu Wielkim. Będąc członkiem kadry kształcącej prowadziłem tam kursy drużynowych. Z racji tych różnych funkcji miałem większe możliwości działania z moimi harcerzami. Mocnym impulsem była współpraca skautowa. Zaangażowałem się także w odradzanie się harcerskiego ruchu wędrowniczego. Do dziś bardzo cenię sobie współpracę z Krzysztofem Sikorą, ówczesnym szefem Wydziału Starszoharcerskiego GK ZHP. Będąc członkiem Rady Naczelnej ZHP miałem zaszczyt poznać i współpracować ze Stefanem Mirowskim – Przewodniczącym ZHP, ostatnim komendantem najmłodszego pionu Szarych Szeregów – „Zawiszaków”. To był wielki autorytet! Mogę śmiało powiedzieć, że dzięki zaangażowaniu tego wspaniałego człowieka, ZHP dość szybko odzyskał utracone za sprawą komunistów członkostwo w światowych organizacjach skautowych. To był akurat ten czas kiedy byłem członkiem Rady Naczelnej. Nadal mam lilijkę skautową, którą przypiął mi do munduru Stefan Mirowski... Dzisiaj o wielu funkcjach i wydarzeniach już nie pamiętam. Było tego dużo na szczeblu chorągwanym i centralnym, a jednocześnie mocne zakorzenienie w naszym sokołowskim środowisku.

- Wróćmy więc do tego środowiska...

- W 1995 r. po raz pierwszy zorganizowaliśmy nasz obóz wędrowny przez kraje Europy Zachodniej – Niemcy, Danię, Luksemburg, Holandię, Belgię, Francję i Czechy. W latach 90. nie było tyle biur podróży ani takich wycieczek zagranicznych na masową skalę. Nieliczni mogli sobie pozwolić na sporadyczne wyjazdy. Pamiętam pierwsze obawy rodziców, którzy oddali swe dzieci pod opiekę młodemu chłopakowi i zgodzili się na ich podróż przez Europę jakimś busikiem. W następnym roku wyjechaliśmy na obóz do Międzynarodowego Ośrodka Skautowego Gilwell Park w Londynie, w roku kolejnym – obóz w tym samym miejscu i drugi, wędrowny – przez całą Grecję. Potem, w ramach specjalnego programu skautowego, otworzył się przed nami świat wszystkich centrów skautowych w Europie. Odwiedzenie tych ośrodków stało się możliwe po bardzo preferencyjnych cenach, stąd było nas na to stać. Poza tym zarabialiśmy. Byliśmy w Holandii, we Francji, Niemczech, Grecji, Włoszech – w sumie zwiedziliśmy 13 krajów Europy. Zdarzało się, że w jednym roku organizowaliśmy kilka obozów zagranicznych. Poza tym uczestniczyliśmy w obozach hufcowych, na których gościliśmy harcerzy z Niemiec, Kanady, Grecji. Przez 5 lat jeździliśmy do Szwajcarii, do największego w Europie ośrodka skautowego w Kanderstegu, istniejącego od 1925 roku. Niezapomniane wydarzenie w samym sercu Alp, wśród pięknych trzytysięczników. Wędrówki przez lodowce, wspinaczki górskie, spływy góorskimi rzekami – tego tam doświadczyliśmy. To była naprawdę wielka przygoda i wspaniałe znajomości z ludźmi z najodleglejszych zakątków Ziemi... Kiedyś na zaproszenie polskiego ambasadora w Grecji zakładałem z Olą Joniec harcerstwo w największej polskiej szkole poza granicami kraju mieszczącej się w Atenach. Podobnie jak z Bożenką Hardej rozwijaliśmy harcerstwo w Baranowiczach na Białorusi. Wielokrotne wyjazdy obfitowały w wiele niezapomnianych zdarzeń...

- O sokołowskich harcerzach było więc głośno i w Polsce, i poza jej granicami?

- Zdecydowanie tak. Wtedy byliśmy jednym z mocniejszych środowisk wędrowniczych w Polsce. Dowodem na to jest chociażby tytuł „Primus Inter Pares”, który zdobyliśmy w wyniku współzawodnictwa na Zlocie „Wędrownicza Watra 2003” w Perkozie k. Olsztyńska. „Pangea” współpracowała z różnymi mocnymi środowiskami – z harcerstwem garwolińskim (nawet małżeństwo się narodziło w tych relacjach), ze szczepem „Matecznik” z Piotrkowa Trybunalskiego, szczepem „Moana” z Wrocławia i wieloma innymi...

- Wiem, że ważne dla Ciebie w pracy harcerskiej było zawsze wychowanie duchowe i religijne, z czym również wiązały się wyjazdy...

- To prawda. Nasz hufiec oficjalnie wznowił działalność Duszpasterstwa Harcerskiego 11 listopada 1989 r. Sądzę, że było to jedno z pierwszych tego typu wydarzeń w całym ZHP. Pamiętam to dokładnie. Po raz pierwszy tego dnia zorganizowaliśmy obchody Święta Niepodległości dla całego Sokołowa. Dla nas młodych, było to ważne przeżycie...

W połowie lat 90-tych zaczęło się nasze coroczne uczestnictwo w Europejskich Spotkaniach Młodych organizowanych przez Wspólnotę z Taize. Najpierw był Paryż, potem przez kolejne lata: Wrocław, Stuttgart, Wiedeń, Mediolan, Warszawa, Barcelona, Budapeszt, znów Paryż. Współpracowałem wtedy z bratem Markiem z Taize – Polakiem, który koordynował udział naszych rodaków w ESM. To niezwykle cenne doświadczenie, a znajomość tego mnicha (kiedyś gościliśmy go nawet w naszym domu) jest dla mnie bardzo ważna.

Co roku podczas naszych obozów budowaliśmy leśne kaplice. Każdy wieczór kończył się odśpiewaniem Modlitwy Harcerskiej, a w niedziele zawsze prosiliśmy księdza z jakiejś pobliskiej parafii, by odprawiał nam połowe Msze święte. Tak było w Czarnusze, Perkozie, Kanderstegu i wielu innych miejscach, gdzie spędzaliśmy wakacje.

W związku z pełnioną funkcją w Głównej Kwaterze swego czasu byłem też odpowiedzialny za ogólnopolską akcję „Betlejemskie Światło Pokoju” i Pielgrzymkę ZHP na Jasną Górę. Ściśle współpracowałem z kapelanem ZHP ks. Janem Ujmą. Nasze sokołowskie środowisko uczestniczyło w sierpniowych pieszych pielgrzymkach na Jasną Górę. Szliśmy razem z Salezjanami, bo naszym kapelanem był ks. Adam Malak. W 1997 roku wraz z nim uczestniczyliśmy też w Kongresie Eucharystycznym we Wrocławiu i kolejnej pielgrzymce Jana Pawła II. Pełniliśmy tam Białą Służbę. Trochę się napracowaliśmy, bo ludzie często słabli w tłumie. Jednocześnie jednak rosła w nas wtedy satysfakcja i poczucie spełnienia.

- Mocne związki z sokołowskim harcerstwem miał też zespół Effatha?

- Tak. Wielu z nas harcerzy śpiewało przez lata w tym zespole, założonym przez Iwonę Mergo w 1993 roku. Kiedy w 1997 r. opiekunem grupy został ks. Jarosław Borowiecki (wtedy również kapelan hufca), postać charyzmatyczna, to przyciągnął do Effathy kolejnych harcerzy. Można powiedzieć, że Effatha stała się swego czasu niemal zespołem harcerskim, choć wykonującym muzykę religijną. Zapewnialiśmy muzyczną oprawę liturgii na ogólnopolskich Pielgrzymkach ZHP na Jasną Górę. Pamiętam także harcerskie Msze św. w Katedrze Polowej WP w Warszawie, które sprawował ówczesny Biskup Polowy gen. Sławoj Leszek Głódź.

- Trwają przygotowania do Światowych Dni Młodzieży w Krakowie i spotkania z obecnym papieżem Franciszkiem. W początkach twojej działalności jako drużynowego był sierpień roku 1991 i Światowe Dni Młodzieży w Częstochowie...

- Oczywiście! Byliśmy tam jako „Dziesiątka”. Pełniliśmy Białą Służbę. Wyznaczono naszej drużynie obszar na przedmieściach, czym byliśmy bardzo rozczerowani. Jednak okazało się, że to właśnie przy nas, w odległości dosłownie kilku metrów Jan Paweł II przesiadał się do papamobile. Gdy nas zobaczył powiedział: „O harcerze. Dobrze, że jesteście” i nas pobłogosławił. Do dziś ogarnia mnie wzruszenie... Potem było czuwanie na wałach jasnogórskich i Msza święta. Tego się nie zapomina, tym bardziej, że ciężko pracowaliśmy roznosząc ludziom wodę, przenosząc omdlałych, udzielając różną pomoc w ogromnym tłumie.

Warto przy okazji wspomnieć też pobyt Ojca Świętego w Drohiczynie w 1999 roku. To wydarzenie jest dla mnie ważne jeszcze z innego powodu. Otóż wtedy poznałem moją żonę – Agata była odpowiedzialna za wystrój kwiatowy ołtarza papieskiego, ja zaś byłem komendantem Białej Służby, w której uczestniczyło prawie 1000 harcerzy...

Z Drohiczynem mam wiele wspomnień, w tym jeszcze jedno wyjątkowe. 10 czerwca 2006 r. zorganizowano tam uroczystości, w trakcie których dzień rocznicy pobytu Jana Pawła II w Drohiczynie proklamowano jako Dzień Podlasia. W uroczystościach wziął udział ówczesny prezydent RP ś.p. Lech Kaczyński. Organizatorzy poprosili mnie, żebym - jako harcerz - przeczytał na Mszy św. jedno z czytań liturgicznych. Wziąłem ze sobą moją małą córeczkę Ninę, która była w mundurze zucha. W trakcie czytania trzymałem ją na ręku. Ona niespełna rok wcześniej, w wieku dwóch lat pojechała po raz pierwszy na hufcowy obóz do Jaškowa jako najmłodsza wtedy zuchanka. Po Mszy Prezydent Kaczyński podszedł do nas, by z sympatią i serdecznością pogłodzić Ninę po głowie. Zdjęcie z tamtego wydarzenia jest dla mnie wyjątkową pamiątką. W kontekście tego, co się wydarzyło w 2010 roku, ta emocja nabrała jeszcze większego znaczenia. Potem w Sokołowie, w 2008 r., kiedy prowadziłem ceremonię przed pomnikiem ks. Brzóski nadania mu Orderu Orła Białego, spotkałem się

ponownie z Prezydentem. Jakże inny był to człowiek w bezpośrednim kontakcie od obrazu w jakim ukazywała go większość mediów.

- Swoje życie zawodowe również związałeś z młodzieżą?

-W 2000 roku rozpocząłem pracę w obecnym Zespole Szkół Specjalnych im. Jana Pawła II. Stało się to pod wpływem druhny Bożenki Hardej. Nie było już wtedy możliwości pracy w Domu Harcerza, nawet na pół etatu, więc ona jako komendantka namówiła mnie, żeby zostać nauczycielem. Ta praca mnie pochłonęła. W 2001 r. uczniowie ze szkoły specjalnej po raz pierwszy od lat pojechali na obóz do Czarnuchy. Wraz z moją ówczesną narzeczoną Agatą, zabraliśmy kilkanaście dzieciaków, załatwiając im wcześniej niemal wszystko: ubrania, ręczniki, menażki itp. Pamiętam jak z wielkich obaw powstał fantastyczny obóz Nieprzetartego Szlaku (ruch harcerski młodzieży niepełnosprawnej – przyp. red.). Tak narodziły się „Duchy Lasu” - harcerskie środowisko, które do dzisiaj prowadzą bardzo aktywnie Grzegorz i Aneta Nowotniakowie. Dodam, że niegdyś w tej sokołowskiej szkole specjalnej działał jeden z najmocniejszych szczepów Nieprzetartego Szlaku w całym ZHP. To środowisko istniało dzięki Jerzemu Marchelowi i wielu wspaniałym nauczycielom – instruktorom harcerskim z tej placówki...

Takie to różne przygody były w moim harcerstwie...

- Obecnie szczep „Pangea” jest niestety już tylko historią. Dlaczego?

- „Pangea” została rozwiązana kilka lat temu. Jeszcze w 2005 r. bardzo uroczyście obchodziliśmy 20-lecie środowiska. Dlaczego to już tylko historia? No cóż... Tak już jest, że wszystko, co ma swój początek, ma też swój koniec. Drużynowi po maturze wyjechali na studia. Po studiach znaleźli pracę w różnych stronach Polski i świata. Potem przyszedł czas zakładania własnych rodzin i wkraść się zwyczajny brak czasu. Wszystko związane jest z ludźmi... Ale to jest normalne, wszystko - poza Panem Bogiem - mija.

Pragnę jednak mocno podkreślić, że to, co się zrodziło w „Pangei”, absolutnie nie umarło. Przyjaźnimy się do dzisiaj, mamy ze sobą bardzo mocne kontakty. Ostatnio spotkaliśmy się na Święta Bożego Narodzenia u nas w domu. Moi harcerze wiele osiągnęli – jest wśród nich prokurator wojskowy, są lekarze, prawnicy, przedstawiciele wielkich korporacji, nauczyciele, przedsiębiorcy, samorządowcy, a nawet członkowie służb specjalnych. Są dziś wspaniałymi ludźmi, którzy pełnią rozmaite funkcje. Nadal są bardzo aktywni, pełni werwy i pomysłów. No i najważniejsze: do dziś urodziło się nam już ponad 30 własnych dzieci!

- Dzięki harcerstwu można zrobić karierę?

- Nie chcę powiedzieć, że harcerstwo doprowadza do kariery (jakkolwiek byśmy ją rozumieli), ale na pewno ułatwia pewną drogę. To jest kwestia rozwijania określonych cech osobowości. Oczywiście, nie chodzi o pogoń za sukcesem, sławą, czy – tym bardziej – pieniędzmi, ale o robienie w życiu tego, co daje satysfakcję, poczucie spełnienia. W moim życiu zawodowym harcerstwo stanowi o wiele pełniejszą szkołę, źródło wiedzy i umiejętności, niż wszystkie ukończone studia, choć było ich naprawdę sporo. Harcerstwo niezwykle znacząco wpłynęło na to, kim każdy z nas jest. To samo mówią dziewczyny i chłopcy z „Pangei” i innych dobrych sokołowskich środowisk ZHP. Dziś – mimo, iż nie działamy w harcerstwie tak czynnie, jak niegdyś – zachęcamy wszystkich do tego ruchu. Niezależnie od tego, czy harcerstwo jest masowe czy elitarne, to ci, którzy w nim działają doświadczają rzeczy niesamowicie ważnych, które potem procentują. W całym życiu. W stulecie sokołowskiego harcerstwa warto podkreślić, że jeśli popatrzymy na życiową drogę

osób, które cokolwiek znaczą tutaj w Sokołowie, w różnych miejscach, to okaże się, że ogromna część z nich to są ludzie, którzy właśnie działali w harcerstwie.

- Mówi się, że harcerstwo uczy, kształtuje charakter, silną wolę, odwagę cywilną, wpaja wartości, pozwala czerpać doświadczenie od wszystkich, z którymi się spotykamy. Co twoim zdaniem jest najważniejsze w tej organizacji?

- Harcerstwo to o wiele więcej niż organizacja, to rzeczywiście prawdziwa szkoła życia, która wpaja wartości, kształtuje charakter, która daje wiedzę, rozmaite umiejętności, która pozwala przeżyć niesamowitą ilość cennych doświadczeń. Dla mnie najważniejsze jest doświadczenie przyjaźni i w ogóle relacji międzyludzkich. W swoim harcerskim życiu naprawdę poznałem tysiące ludzi w całej Polsce i rozmaitych zakątkach świata. Przypominają mi się tutaj opowieści wielu starszych ode mnie instruktorów, jak choćby ś.p. Kazimierza Miłobędzkiego czy Tadeusza Jastrzębskiego – przedwojennych sokołowskich harcerzy. Oni zawsze mówili o tych harcerskich przyjaźniach. O tym też opowiadała niedawno na spotkaniu w Dzień Myśli Braterskiej m.in. Krysia Matysiak. Zdecydowanie to wszystko, co ja przeżyłem w harcerstwie, to są doświadczenia i emocje, wspomnienia, które zostaną do końca życia.

- Czas jednak zaciera pamięć. Czy historia szczepu „Pangea” została utrwalona?

- Mieliśmy kronikę. Część naszych pamiątek została w Domu Harcerza. U siebie mam całą skrzynię zdjęć, proporców i innych skarbów. Przyjdzie czas na uporządkowanie. Tych wspomnień jest dużo, kilka książek można by napisać.

- Obecnie nie działasz w ZHP, ale nadal jesteś człowiekiem aktywnym. Mam na myśli na przykład zaangażowanie w Neokatechumenat. Skąd właśnie ta aktywność?

- Uczestnictwo w Drodze Neokatechumenalnej to pewne doświadczenie, którym żyję od dziesięciu lat wraz z moją rodziną. To kolejny etap w kształtowaniu mojej relacji do Pana Boga. Na pewno każdy, kto zetknął się z harcerstwem ma swoje niepowtarzalne doświadczenia. Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że moje harcerstwo sokołowskie zawsze było religijne, pełne wartości. Nikt nigdy mnie nie wpajał mi innych ideologii. Wiem, że różnych miastach różnie to bywało. Natomiast tu, w Sokołowie nawet w „okresie słusznie minionym” były Msze święte, rekolekcje harcerskie, Biała Służba, pielgrzymki, tak wiele wydarzeń, które rozwijały naszą wiarę. Pamiętam, że to dzięki harcerzom 11 listopada 1989 r. w kościele Salezjanów sprawowano oficjalną Mszę św.za Ojczyznę, dla uczczenia Święta Niepodległości, zanim oficjalnie nie przywrócono je na nowo. Takie jest moje wspomnienie, moje harcerstwo... Jak już mówiłem, w latach 90. bardzo ważne dla mojej formacji religijnej i innych harcerzy było to, że mieliśmy takich kapelanów jak ks. Adam Malak, ks. Jarek Borowiecki i inni. Nie mogę pominąć jedenastu lat z zespołem Effatha. To wszystko skutkowało tym, że moje związanie się z Kościołem Katolickim było bardzo silne, nawet mimo różnych „zakrętów”, które przechodziłem w młodości jak większość nastolatków. Dlaczego dziś to akurat Neokatechumenat? Po raz pierwszy zetknąłem się z tą rzeczywistością Kościoła poprzez naszą harcerkę Marzenę Zatkalik, potem przez Jana Orgelbranda, instruktora Głównej Kwatery ZHP. Kiedy u Salezjanów, w mojej rodzinnej parafii, w 2004 roku rozpoczęły się katechezy neokatechumenalne, to okazały się one dla mnie absolutnym punktem zwrotnym. Dziś życie moje, mej żony i dzieci związane jest ze wspólnotą i jest to niezwykle ważne doświadczenie. Pod każdym względem!

- Co z harcerstwa przeszczepiasz na grunt szkoły, w której jesteś dyrektorem?

- Sprawy związane z wartościami są dla mnie priorytetem. To rzeczywiście ma swoje korzenie w harcerstwie i Kościele. Często powtarzam: wychowanie na pierwszym miejscu, dydaktyka zaraz po nim. Jeżeli wychowanie będzie dobrze ułożone, dydaktyka również przyniesie efekty; a jeśli zapomnimy o wychowaniu, to i z nauczania będą nici.

Mocny akcent w liceum staramy się kłaść na wychowanie patriotyczne, miłość do Ojczyzny, pamięć o historii. Niezwykle ważny jest nasz program „Bronimy życia”, na który składa się „Adopcja dziecka poczętego”, „Adopcja na odległość”, wolontariat Szkolnego Koła Caritas, krwiodawstwo. Kilka lat temu postanowiliśmy, że będzie to nasz pomnik wdzięczności dla Jana Pawła II. Staramy się, by nasza młodzież była aktywna, pełna zaangażowania, by wyzbywała się bierności i lenistwa. To są naprawdę dobre dzieciaki! Tak często jesteśmy z nich dumni.

Moją rolą w I LO jest dbałość o odpowiedni poziom funkcjonowania szkoły pod każdym względem. Staram się to robić najlepiej jak potrafię. Niczego nie dokonałem sam. Wszystko, co powstało w ciągu tych niemal ośmiu ostatnich lat jest efektem wspólnego zaangażowania wielu osób: dobrej kadry, rodziców, fantastycznych uczniów i wielu sojuszników.

Liceum na Sadowej to dobra szkoła. Dziś Instytut Badań Edukacyjnych plasuje ją w kategorii „szkoła sukcesu” - mówi o tym wskaźnik Edukacyjnej Wartości Dodanej. Podobnie jest z tzw. klasami staninowymi: nawet nasze najslabsze wyniki przewyższają średnią mazowiecką. Ministerstwo przyznało nam tytuł „Szkoły Odkrywców Talentów”.

Choć może to zabrzmieć zbyt patetycznie, to w tej pracy staram się pamiętać o harcerskim powiedzeniu: „Jakość, a nie jakoś!”. I wiele rzeczy naprawdę nam wychodzi... Jednak, chcę podkreślić, że to co stanowi dzisiejszy obraz I LO, to efekt pracy i etosu budowanego przez kilka dekad oraz rezultat działalności całej obecnej społeczności szkoły.

- To na pewno powrót do dumy. Wróćmy jednak do Ciebie. Kto jeszcze, poza harcerstwem i najbliższą rodziną ukształtował Marcina Celińskiego?

- Na pewno moi nauczyciele, z których wymienię choćby wspaniałe wychowawczynie z „Jedynki”: Krystynę Jędrejek, Barbarę Pękałę, ale także Helenę Sadłowską z Zespołu Szkół Nr 1 im. Stanisława Staszica w Siedlcach. W 1991 roku ukończyłem tam kierunek elektronika ogólna. Pani Sadłowska, to wyjątkowo prawa osoba, od początku bardzo związana z „Solidarnością”. Do końca życia będzie jednym z moich największych autorytetów. To ona przede wszystkim utrwalała we mnie i moich kolegach z klasy poczucie patriotyzmu. Pamiętam coroczne wycieczki. To z naszą wychowawczynią byliśmy w Gdańsku przy Pomniku Poległych Stoczniovców, w Warszawie na Powązkach i przy grobie ks. Popiełuszki, we Wrocławiu na lekcji historycznej przy obrazie Styki, Kossaka i innych „Panorama Racławicka”. Do dziś my, jej wychowankowie, mamy z nią bliski kontakt.

Na pewno każdy z kim się w życiu zetknąłem, pozostawił we mnie jakiś swój ślad. Od dziecka żyłem harcerstwem i w tym środowisku spotkałem najwięcej osób, dlatego też – poza rodziną, nauczycielami – to właśnie harcerze ukształtowali moją osobowość. Poza wieloma osobami związanymi z sokołowskim hufcem, jak Andrzej Adamski, Jerzy Rabek, Jana Świnarska, Bożenna Hardej i wielu innych, chciałbym wymienić tu pewne osoby i środowiska z Polski, które są do dziś dla mnie bardzo znaczące. Jest to na pewno cała grupa instruktorów tworzących Centralną Szkołę Instruktorów ZHP w Załęczu Wielkim i Szkołę Harcerstwa Starszego w Perkozio. Są to ci, którzy odradzali w ZHP ruch wędrowniczy z Krzysztofem Sikorą na czele. Nie zapomnę nigdy ludzi tworzących harcerski Ruch „Całym Życiem” z małżeństwami Bokackich i Kreczmańskich na czele, ani też wielu ważnych instruktorów Głównej Kwatery, jak choćby naczelnika Jacka Smury.

Na swoim harcerskim szlaku poznałem kiedyś Sata-Okha – wodza kanadyjskiego plemienia Szawanezów, który rozmawiał mnie w indianizmie i puszczalństwie. Do dziś znam kilka

indiańskich pieśni. Naprawdę... Tę pasję rozwinęła jeszcze znajomość z absolutnie charyzmatycznym harcerzem, ekologiem - Dariuszem Morsztynem. Ci dwaj mieli duży wpływ na obrzędowość szczepu „Pangea”.

- Masz wiele zainteresowań, ale co jest szczególną twoją pasją?

- Poznawanie świata. Moje zamiłowania do podróży przekazała mi w genach babcia, która mimo ograniczeń PRL-u zwiedziła niezły kawałek Europy. Pamiętam jej opowieści i pamiątki z ówczesnego Leningradu, Odessy, bułgarskich plaż, a także wycieczki do Warszawy i zwiedzanie Pałacu Kultury. To było moje dzieciństwo lat 70-tych i 80-tych... Harcerstwo rozwinęło we mnie tę pasję odkrywcy. Wszystko zaczęło się w 10 HDT od Andrzeja Adamskiego, potem niezliczone wyjazdy oraz zagraniczne obozy szczepu „Pangea”. Ileż to było przygód! Przeszedłem niemal wszystkie tatrzańskie szlaki, wspinałem się po jurajskich skałach, spałem na ogromnym lodowcu Kanderfirn, spływałem górskimi rzekami w Alpach i Pirenejach, eksplorowałem dzikie jaskinie, a przede wszystkim wędrowałem...

Obecnie na podróże czasu mam nieporównanie mniej. Staram się powoli зараżać tą pasją swoje córki. Ostatnia moja ciekawa podróż to wyjazd do Afryki. Przez miesiąc z przyjaciółmi przewędrowaliśmy 5 tys. km. Była to prawdziwa wyprawa. Nie spaliśmy w hotelach, ale pod namiotem lub w katolickich misjach. W pamięci pozostanie wejście na Kilimandżaro drogą Machame, spotkania z Masajami, z niezwykle misjonarzami, różne przygody od Nairobi w Kenii, poprzez Tanzanię, Zanzibar, aż do Wodospadu Wiktorii na granicy Zambii i Zimbabwe. Fantastyczna wyprawa! To wszystko jest także nierozzerwalnie związane z harcerstwem.

- Zatoczyliśmy koło i znów wróciliśmy do harcerstwa. Co chciałbyś powiedzieć czytelnikom z okazji 100-lecia tej ważnej dla ciebie organizacji?

Sokołowskie harcerstwo jest wielkim skarbem naszego miasta i powiatu! Mija wiek, od kiedy pojawili się tu młodzi ludzie w mundurach i kolorowych chustach. Przez te sto lat wnosili swój istotny potencjał do rozwoju tej ziemi. Sokołowscy harcerze ginęli w wojnie polsko-bolszewickiej. Aktywnie budowali naszą małą ojczyznę w dwudziestoleciu międzywojennym. Przecież to z inicjatywy sokołowskich instruktorów harcerskich, którzy zasiadali w Radzie Miasta, powstał pomnik poświęcony ks. Stanisławowi Brzósce. W czasie II wojny harcerze prowadzili tajne „komplety” lub walczyli zarówno z Niemcami jak i z Sowietami. Tak wielu oddało wtedy swe życie. Powojenne oddziały partyzanckie także były pełne harcerzy. W trudnych latach PRL-u, mimo wszechobecnej indoktrynacji, harcerstwo wychowało wielu prawych, wartościowych ludzi. Przez ostatnie ćwierć wieku, funkcjonując w III RP, mimo wielu rozmaitych trudności, sokołowski hufiec był i jest kreatorem wspaniałej pracy wychowawczej wśród dzieci i młodzieży. Często nie zdajemy sobie nawet sprawy, jak wielu dorosłych, a szczególnie tych, którzy pełnią rozmaite istotne funkcje: burmistrzów, wójtów, dyrektorów, funkcjonariuszy różnych służb, urzędników, nauczycieli, przeszło przez sokołowskie harcerstwo! Jak wielu prawników, lekarzy, przedsiębiorców etc. nosiło niegdyś harcerski mundur!

W roku tego niebagatelnego jubileuszu życzę sokołowskiemu harcerstwu niezłomnego ducha Roberta Baden-Powella i Andrzeja Małkowskiego, poczucia spełniania naprawdę ważnej misji, a na końcu: docenienia przez historię. Zuchom i harcerzom życzę nieustannych przygód i codziennej, wielkiej radości wśród przyjaciół. Instruktorom i seniorom – by ich trud zawsze przynosił to fajne uczucie satysfakcji po dobrze zrobionej robocie.

Tym zaś czytelnikom, których harcerska przygoda ominęła, życzę by szczerze cieszyli się razem z nami z tych stu lat wspólnego budowania lepszej rzeczywistości. Harcerstwo to nasz wspólny skarb!

- A ja życzę ci, żebyś z taką sama pasją wspominał po latach to wszystko, czym obecnie się zajmujesz. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Jadwiga Ostromecka